



JADWIGA BUCZAK

NADZIEJA POWRACA



Nadzieja powraca
© Jadwiga Buczak
© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved
Wszystkie prawa zastrzeżone
Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek
fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu
wymaga pisemnej zgody twórców.

Pod redakcją: D. B. Foryś
Redakcja: Aleksandra Baranowska
Korekta: Monika Malita-Bekier
Projekt okładki: E.Raj
Skład: D. B. Foryś | www.dbforys.pl

ISBN druk: 978-83-68177-28-2
ISBN e-book: 978-83-68177-29-9

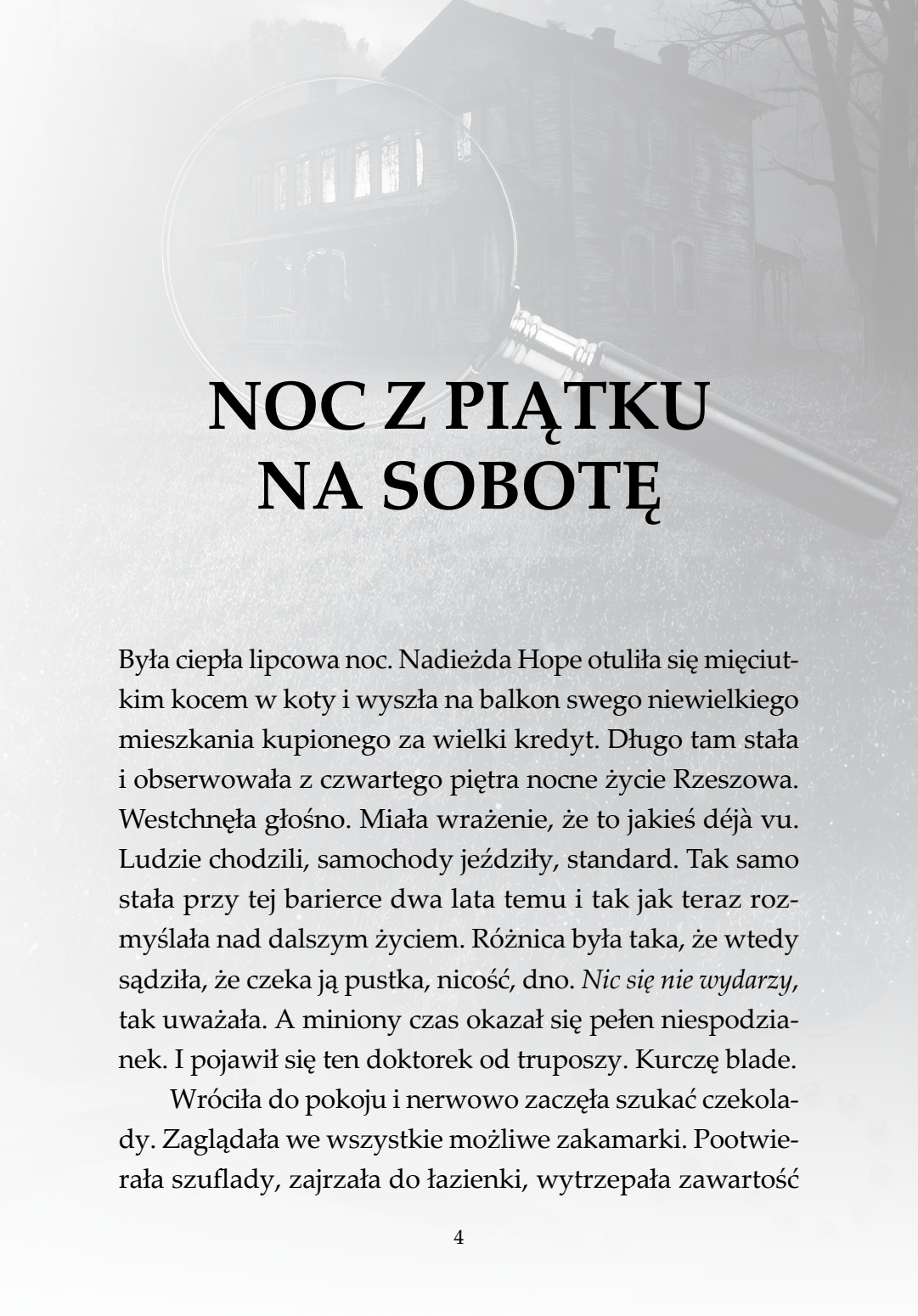
Wydanie pierwsze
Wojkowice 2024
Wydawnictwo Nie powiem
E-mail: redakcja@niepowiem.com.pl
Telefon: 518833244
Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

www.niepowiem.com.pl

JADWIGA BUCZAK

NADZIEJA POWRACA





NOC Z PIĄTKU NA SOBOTĘ

Była ciepła lipcowa noc. Nadzieжда Hope otuliła się mięciutkim kocem w koty i wyszła na balkon swego niewielkiego mieszkania kupionego za wielki kredyt. Długo tam stała i obserwowała z czwartego piętra nocne życie Rzeszowa. Westchnęła głośno. Miała wrażenie, że to jakieś *déjà vu*. Ludzie chodzili, samochody jeździły, standard. Tak samo stała przy tej barierce dwa lata temu i tak jak teraz rozmyślała nad dalszym życiem. Różnica była taka, że wtedy sądziła, że czeka ją pustka, nicość, dno. *Nic się nie wydarzy*, tak uważała. A miniony czas okazał się pełen niespodzianek. I pojawił się ten doktorek od truposzy. Kurczę blade.

Wróciła do pokoju i nerwowo zaczęła szukać czekolady. Zaglądała we wszystkie możliwe zakamarki. Pootwierała szuflady, zajrzała do łazienki, wytrzepała zawartość

torebki, bo nigdy nie wiadomo, gdzie tabliczka może się schować. *Jest! A tu cię mam.* Czekolada z nadzieniem o smaku miętowym leżała sobie spokojnie między farbami, pędzlami i różnymi słoiczkami. Nadzieja odetchnęła z ulgą. Nie musiała wychodzić na stację benzynową, żeby uzupełnić zapas. Przez otwarte drzwi balkonowe dochodziły głosy z ulicy. Księżyc wspomagany latarniami oświetlał wnętrze pokoju. Kobieta zaparzyła kawę w swoim ulubionym kubku z obrazkiem Wenecji. Dostała go od Marka razem z obietnicą, że kiedyś tam pojedą. Nic z tego – nie ruszyli się ani tam, ani nigdzie.

Usiadła wygodnie w fotelu, a kot momentalnie wskoczył jej na kolana.

– Tylko na ciebie mogę liczyć, bo na tego doktorka od truposzy nie. Na niego? W życiu! Obraża się o byle co, nigdy nie wiadomo, o co mu chodzi. Niby się oświadczył, ale tak jakoś od niechcenia. Miał taką niewyraźną minę i wzrok błędzący gdzieś pod sufitem. Oświadczył się z łaski na uciechę, jak mówiła moja babcia. Powinnam była od razu powiedzieć „nie”.

Dzień, w którym zerwała zaręczyny, okazał się najtrudniejszym dniem w jej życiu. Doszła jednak do przekonania, że tak będzie lepiej. Po co pakować się w związek, którego nie była pewna? Teraz jest dobrze, ale kto da gwarancję, że za rok, dwa wszystko się nie odmieni?

– Tak, kocie, ja to do facetów nie mam szczęścia. Jestem gruba, nieatrakcyjna i w dodatku stara.

Przymknęła oczy i po omacku sięgała po czekoladę. Kosteczka po kosteczce, aż w końcu zaszeleściło puste opakowanie.

– Trudno, kocie, do rana musimy wytrzymać.

* * *

Marek Polański, czyli doktorek od truposzy, też nie mógł zasnąć. Siedział przy biurku i żeby zająć czymś myśli, zabrał się za raport z sekcji jakiegoś topielca. Facet skoczył do wody i dostał zawału. Udział osób trzecich wykluczony. Marek nie mógł się jednak skupić, więc odsunął papiery i sięgnął po kubek z herbatą. Taki sam kubek ze zdjęciem Wenecji podarował Nadii. Powiedział wtedy: „Kiedys tam pojedziemy”. Pamiętał, jak się ucieszyła i oznajmiła: „To właśnie moje marzenie – zobaczyć Wenecję”.

– Cholera – zaklął głośno, aż sam przestraszył się swego głosu. – Co poszło nie tak? Czym ją obraziłem? Niby wszystko było okej, a nagle zerwała.

Nie tłumaczyła, po prostu nie i już. Do tej pory Marek nie miał pojęcia, o co jej chodziło. *Zwariowana artystka*. Uśmiechnął się do swoich myśli. Właśnie to mu się w niej najbardziej podobało. Obraziła się? Wystraszyła? Ślub zaplanowali na grudzień, tuż przed świętami. Miał być skromny. Tylko świadkowie, oczywiście Wirka i Zdzych, syn pana młodego z lubą i dziećmi, a do tego Lala i Hanka, bo to prawie rodzina. Wszystko było na dobrej drodze,

a dwa tygodnie przed ślubem Nadia stanęła w drzwiach jego mieszkania i powiedziała: „Muszę się zastanowić. A właściwie to nie wiem, chyba nie. Raczej nie. Na pewno nie”. Położyła na stole pierścionek.

– Pierścionek ci się nie spodobał? A może kwiaty? – wychrypiał wtedy zaskoczony.

– Kwiaty są piękne, pierścionek też, ale tak postanowiłam. Przepraszam.

Wybiegając, trzasnęła drzwiami. Nikt tego nie mógł zrozumieć. Wirka popukała się w czoło, a Zdzych tylko wzruszył ramionami.

Polański długo nie mógł dojść do siebie. Unikał Nadii. Z kolegą też na jej temat nie rozmawiał.

* * *

W tę lipcową noc jakoś nikt nie mógł zasnąć. Ksawery Sałacki w końcu znalazł mordercę. Nareszcie. Nie szło mu jednak tak gładko, jak z poprzednim kryminałem. Tam miał zabójcę podanego na tacy, a właściwie dwie zabójczynie osiemdziesiąt plus. Teraz całą intrygę musiał obmyślić samodzielnie. Otarł pot z czoła. Okno szczelnie zamknął, bo nie chciał, żeby hałasy z zewnątrz przeszkadzały mu w tworzeniu. Właśnie dopisywał ostatni akapit. Morderca został aresztowany. Uff. Z ulgą napisał: „Koniec”.

– Świetnie. Wyrobiłem się w terminie. Jutro wysyłam do wydawnictwa. – Zatarł dłonie z zadowoleniem.

Z tą książką nie szło tak łatwo. Poprzednie pisał, opierając się na faktach zaczerpniętych z życia. Na przykład pomysł podkradziony koledze dziennikarzowi. Albo ten z podsłuchanej rozmowy. Spojrzał na kilka egzemplarzy swego ostatnio wydanego kryminału *Starsze panie planują zbrodnię*. Baby mu podpadły, więc miały za swoje. Odegrał się na kartkach książki. Słodka zemsta. Był z siebie bardzo zadowolony. Długo wtedy szukał pomysłu na kolejną powieść. Brak weny zaczął go irytować. Załamywała go niemoc twórcza, aż do momentu gdy usłyszał w kawiarni rozmowę. Wystarczyło kilka zdań i już miał temat na kolejną sensacyjną historię. I pomyśleć, że to dzięki bylejakiej teściowej i jej koleżance powstała ta fabuła o starszych paniach.

Ksawery nie miał jednak pojęcia, że „baby” wysłały swoją powieść do tego samego wydawcy i jakiś czas temu na rynku księgarskim pojawiła się książka *Detektywki na tropie*.

* * *

Krystynę Nawrocką obudził w nocy jakiś dźwięk. Był tak cichy, że w sumie nie miała pewności, czy faktycznie coś hałasowało. *Może to tylko sen?* Ostrożnie wysunęła spod kołdry najpierw jedną nogę, potem drugą. Cisza. Mimo wszystko trzeba sprawdzić. Zajrzała do drugiego pokoju. Zbyszka, jej męża, nie było. Właściwie powinna

się do tego przyzwyczaić. Siostrzeniec, który przez jakiś czas mieszkał z nimi, po ślubie wyprowadził się na swoje. W tym momencie Krysia została sama. Czasem jej się wydawało, że ktoś chodzi koło domu. *To tylko nerwy*. Sprawdziła drzwi i okna. Wszystko pozamykane. Uchyliła lekko zasłonę. Tuje sąsiadów chwiały się na wietrze. *To tylko wiatr*. Odetchnęła z ulgą.

Jeszcze długo nie mogła zasnąć. Myślała o mężu, który już od dłuższego czasu znikał z domu. Wiedziała, że spotyka się z innymi kobietami, ale wracał, przynosił kwiaty, przeproszał, obiecywał, że to ostatni raz. Wybaczła. *Może Nadia ma rację? Może trzeba raz na zawsze zakończyć ten toksyczny związek?* Przypomniła sobie kobietę, którą widziała kilka razy. Kręciła się pod ich domem. Starsza, zaniedbana. Nie, z nią Zbyszek na pewno Krystyny nie zdradzał.

* * *

Elwira Rumianek-Sałacka i Zdzisław Morski też nie spali. Siedzieli przytuleni na pomoście i wpatrywali się w srebrzyste wody jeziora Śniardwy. Nie mieli zmartwień, bo przecież trwał ich miesiąc miodowy. No dobrze, tydzień, ale jaki wspaniały!

– Jaka szkoda, że musimy wracać – westchnęła Wirka. – A z drugiej strony to jestem ciekawa, co u mamy i Nadii. Czy na pewno nic się nie dzieje?

– Trudno uwierzyć, ale rzeczywiście przez ostatnie kilka miesięcy nic się nie wydarzyło. – Zdzich popatrzył na żonę i przytulił ją mocniej. – I niech tak zostanie.

Położyła głowę na jego ramieniu. Nie sądziła, że po tylu latach nieudanego małżeństwa z pisarzem kryminałów znajdzie szczęście w ramionach chirurga. Brzmiało jak banał, a jednak była teraz naprawdę szczęśliwa.

* * *

Emerytowany nadkomisarz Bartłomiej Sebastian Maria Jaduch herbu Pilawa siedział w fotelu i wpatrywał się w swoje dzieło wiszące na ścianie. Oprawił je w złotą ramę. Bo dlaczego nie? Drzewo genealogiczne rodu Jaduchów. Po wielu latach przeglądania różnych dokumentów, ksiąg wieczystych i parafialnych, a także po rozmowie z panią Seweryną Masłowską mógł cieszyć się sukcesem. Wyjaśnił już prawie wszystkie nieścisłości i wątpliwości dotyczące jego pokrewieństwa czy powinowactwa z hrabią Potockim. Pani Masłowska była w tym bardzo pomocna. *Niezastąpione źródło informacji*, myślał o starszej pani. Okazało się, że i z Masłowskimi coś łączyło jego przodków. Jednak opowieści o jej pokrewieństwach i powinowactwach, którymi kobieta bombardowała Jaducha, a które nie dotyczyły jego historii, stały się męczące. Dlatego też, w miarę delikatnie, starał się wymawiać od kolejnych wizyt. Pracował nad tym

drzewem przez kilka ostatnich lat i nagle, kiedy już je ukończył, poczuł pustkę. Co teraz będzie robił? Po przejściu na emeryturę przez dwa tygodnie upajał się nicnierobieniem, ale co dalej? Ileż można siedzieć beczynn timer w czterech ścianach? Westchnął głośno, wyciągnął piwo z lodówki i zamówił pizzę.

* * *

Bonifacy Masłowski, dla kolegów Boni, wrócił akurat z randki. To archaiczne imię wprawiało go w kompleksy, ale co robić, rodzinna tradycja.

– Czyli mój wnuk też musi mieć na imię Bonifacy? – zapytał kiedyś babci. Ta spojrzała na niego z oburzeniem.

– No oczywiście! Nie może być inaczej.

Dochodziła północ, a on zamiast wyspać się przed ciężkim dniem pracy, zastanawiał się, jak o tym powie swojej dziewczynie.

– Chwila – stuknął się w czoło – przecież nawet jeszcze ślubu nie mamy, a ja już myślę o wnukach?

Przed snem przypomniał sobie, że jutro jest sobota i oprócz nakarmienia podopiecznych, wyprowadzenia ich na spacer i wizyty u babuni nie ma żadnych obowiązków. Uspokojony, położył się i momentalnie zasnął.

Był jeszcze ktoś, kto tej nocy nie mógł zasnąć.

Zanim wysunął spod łóżka drewnianą skrzynkę, dokładnie zaciągnął zasłony przy obu oknach i upewnił się, że drzwi są zamknięte na zamek i zasuwę. Dopiero wtedy zaświeceł na stole małą lampkę i położył tam wyciągnięty chwilę wcześniej przedmiot. Z pietyzmem podniósł wieko. Przez chwilę przyglądał się zawartości, mrużąc oczy z zadowoleniem. Wnętrze skrzynki wyłożono czerwonym rypsem. Wprawdzie tkanina wyblakła i nadgryzł ją ząb czasu, ale nadal prezentowała się dostojnie. Mężczyzna z lubością przeciągnął palcem po znajdujących się wewnątrz rzeczach. Nareszcie nadszedł odpowiedni moment. Za jednym zamachem załatwił dwie sprawy: po pierwsze – wymierzył sprawiedliwość, po drugie – zrobił to, do czego przygotowywał się długo, to znaczy oddał strzał z broni czarnoprochowej. Wcześniej przeprowadził próbę i wiedział, że nigdy nie zapomni tego niesamowitego uczucia.

Jeszcze raz zerknął w stronę okien i drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał. Nie, nikogo nie ma. To tylko wiatr.

Delikatnie, jakby dotykał czegoś z porcelany, wyjął ze skrzynki jeden z bliźniaczych pistoletów.

– No, skarbie, nadszedł twój wielki dzień.

W szczęki kurka włożył krzemień, który obłożył kawałkiem skóry, by go lepiej umocować. Dla pewności

przeczyścił jeszcze kanał zapalowy. Czynności wykonywał powoli, precyzyjnie. Od tego zależało powodzenie akcji.

A może..., rozmarzył się, znajdzie kogoś, kto podniesie rękawicę i stanie ze mną na udeptanej ziemi? Przywróciłoby to życie tym pojedyńkowym pistoletom.

Odciągnął kurek na pierwszy, bezpieczny stopień. Z prochowicy na panewkę nasypał niewielką ilość prochu, tak zwaną podsypkę. Następnie zakrył ją na panewce blaszką, czyli krzesiwem. Odmierzoną dozę prochu z prochowicy wsypał do lufy i włożył ołowianą kulę z kawałkiem papieru, który pełnił funkcję przybitki. Ubił to wszystko pobończykiem. Załadowany pistolet ostrożnie ułożył w torbie i zadowolony wyszedł z domu.

Dotarł na miejsce przed czasem. Zostało go jeszcze sporo do umówionego spotkania. Rozejrzał się. Cisza, spokój. Ani żywej duszy. Spokojnie wyjął broń.

Była ciepła, księżycowa noc. Czekał.

* * *

Już jakiś czas temu wybiła dwudziesta druga. O tej porze kobieta zawsze szykowała się do spania. Jednak nie tym razem. Wciągnęła na siebie sweter, na głowę narzuciła chustę, nogi wsunęła w stare rozdeptane buty, te najwygodniejsze, bo przecież miała w planie przejść spory kawałek. Do tego dnia przygotowywała się długo i wreszcie nadszedł ten

czas. Czuła podniecenie na samą myśl o tym, co miało nastąpić. Będzie bogata!

Zobaczyła ją z daleka. Stała w krzakach i wpatrywała się jak sroka w gnat w punkt, gdzie miał zostawić forszę. Wiedziała za dużo. Dzisiaj chciała sto tysięcy, a jutro zażąda więcej i więcej.

Szarą kopertę wypełnioną ścinkami gazety wsunął w umówione miejsce i się wycofał. Schował się za drzewem. Nie czekał długo. Wyszła z krzaków, rozejrzała się i podreptała w stronę kryjówki. Księżyc akurat przyświecił. Cel był widoczny. Zrobił kilka kroków w jej stronę. Kobieta odwróciła się i ze zdziwieniem spojrzała na mężczyznę. Wtedy padł strzał.

Nie mógł jej tam zostawić. Za szybko zostałyby znaleziona. Z trudem, sapiąc przy tym niemiłosiernie, przeciągnął ją za budynek i ukrył w zaroślach. To była najtrudniejsza część zadania. Kobieta sporo ważyła.

Zasnął nad ranem. Po nerwowym i krótkim śnie wstał z ogromnym bólem pleców. To jednak było ponad jego siły. Nienawidził jej jeszcze bardziej niż dwa dni temu. Stara głupia baba. To przez nią teraz tak cierpiał.



SOBOTA

Komórka nie przestawała brzęczeć. Nadia w końcu się obudziła. Chciała odespać zarwaną noc.

– Czy ta Wirka zwariowała? – Spojrzała na zegar. Ósma dwadzieścia dwie. Porządni ludzie o tej porze jeszcze śpią. Zwłaszcza w sobotę. Zła jak osa odebrała. – Słucham – warknęła.

– Cześć. Obudziłam cię?

To nie była Wirka.

– Obudziłaś. Coś się stało?

– Jeszcze nie, ale chyba dzieje się coś złego.

Krystyna Nawrocka ostatnio rzadko dzwoniła. Spotykały się sporadycznie, najczęściej z jakiejś okazji. Naprawdę musiało się coś wydarzyć.

– Mów!

– To nie na telefon. Błagam, przyjeźdź. Musisz mi pomóc! Nadzieja usłyszała głośne chlipnięcie i Krycha się rozłączyła.

O godzinie dziewiętej czterdzieści osiem Nadia stała w korku na zaporze.

– Sobota i taki ruch. Dlaczego ludzie nie mogą spać albo wyjechać na wczasy? Jest przecież lipiec. Lato w pełni, a wszyscy chyba się uparli, żeby blokować mi drogę. Nawet kotu jajeczniczy nie zdążyłam usmażyć. Nie mówiąc już o tym, że sama też umieram z głodu – narzekała głośno. – Nie marudź – upomniała samą siebie. – Brak śniadania wyjdzie ci tylko na zdrowie.

Ulica Kwiatkowskiego też była zakorkowana. W końcu, po dwudziestu minutach, Nadieżda dojechała na Buddiwój. Zanim zdołała wygramolić się z auta, podbiegła roztrzęsiona Krystyna.

– Krycha, co się dzieje?

– Zbyszka nie ma od kilku dni.

Nadia popatrzyła na koleżankę zdziwiona i pomyślała, że jej mąż nie po raz pierwszy odstawia taki numer.

– Wiem, co myślisz, ale nie o to chodzi. W nocy coś mnie obudziło. Jakiś nieokreślony hałas. Wstałam, sprawdziłam i nic nie zauważyłam, ale dzisiaj rano... To leżało na schodach przed drzwiami.

Wyciągnęła z kieszeni pomietą kartkę.

Bartłomiej Jaduch, nazywany przez kolegów z pracy (gdy jeszcze pracował) Szerlokiem, stał przed lustrem i zastanawiał się, czy na tę przedpołudniową wizytę wypada włożyć popielatą koszulę i marynarkę, czy wystarczy elegancka koszula z krótkim rękawem. Przecież trwało lato.

Wizyta u pani Masłowskiej była wyzwaniem zarówno pod względem ubioru, jak i zachowania. Dzisiaj miał się dowiedzieć, jak jego przodek (oczywiście o nazwisku Jaduch) poznał baronową i co z tego wynikło.

Odruchowo spojrzął na komórkę, czy przypadkiem nikt z komendy nie dzwonił. *No, racja. Przecież to już nie moja sprawa, czy w Rzeszowie kogoś zamordowano, czy nie. Ale co najważniejsze, uśmiechnął się do swoich myśli, nie będę musiał oglądać i wysłuchiwać tych zwariowanych bab.* Oczywiście miał na myśli Nadieżdę Hope i jej przyjaciółkę Elwirę Rumianek-Sałącką.

W końcu zdecydował się na kremową koszulę, bez krawata, i lekką marynarkę. Po drodze kupił bukiet róż.

Drzwi otworzył Bonifacy, wnuk pani Masłowskiej. Ona sama siedziała, jak zwykle, w fotelu. Z uśmiechem wyciągnęła do gościa rękę na powitanie. W tym czasie Majka, córka sąsiadki, wniosła tacę z herbatą i ciasteczkami.

– To ja, proszę pani, uciekam. Mama nie czuje się dobrze.

– Idź, idź, moje dziecko, i pozdrów mamę.

Majka dygnęła, a komisarz pomyślał, że taki dyg widywał w przedwojennych filmach.

* * *

Elwira Rumianek-Sałacka, a właściwie Elwira Morska, siedziała obok kierowcy, to znaczy jej nowo poślubionego, osobistego męża Zdzicha Morskiego. Wracali właśnie z Mazur. Nagle zabrzęczała komórka.

– To Nadia – zakomunikowała Wirka z westchnieniem, bo, mimo że była ciekawa, co słyhać u przyjaciółki, jakoś wcale za nią nie zatęskniła. No, może trochę. Odebrała i przez chwilę słuchała. Od czasu do czasu tylko wtrącała: „aha”, „noo”, albo „ojej!”, a na koniec podsumowała: – Będę u Krychy jutro przed południem.

Zdzich zerknął na nią kątem oka.

– Tylko w nic się nie pakuj. Tam, gdzie Nadzieja, tam kłopoty.

– No co ty? Ja i kłopoty?

* * *

Tymczasem kłopot zbliżał się do Nadziei Hope milowymi krokami, chociaż ona jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. A w dodatku była głodna i odczuwała niedobór kofeiny.

– Masz tego więcej?
– Krakersów?
– Nie, takich liścików.
– Ten jest pierwszy.
– A jesteś pewna, że to do ciebie? Może chodzi o Zbyszka? Dzwon do niego.

– Dzwoniłam chyba sto razy, spróbuję jeszcze raz. – Posłusznie wybrała numer męża. – Nie odpowiada. Ma wyłączony telefon. Może coś mu się stało?

– Złego diabli nie biorą. Zabalował i komórka mu padła. Zrób jakieś kanapki, jeszcze jedną kawę i daj pomyśleć.

* * *

Wizyta u starszej pani przeciągała się w nieskończoność. Tak przynajmniej wydawało się Jaduchowi. Ilekroć nawiązywał do historii swego przodka i baronowej, pani Masłowska miała sto innych historii, które akurat jej się przypominały. Dygresjom nie było końca.

– A wiesz, młody człowieku...

Za każdym razem, kiedy emerytowany nadkomisarz to słyszał, wszystkie kiszki w brzuchu wywracały mu się do góry nogami.

– ...Tak jak już wcześniej wspominałam, dziad, nie – kobieta podniosła palec i przymknęła oczy – właściwie to był pradziad mojego świętej pamięci męża. Miał on, to znaczy ten pradziad, Masłowski, tak, Alojzy Masłowski,

bo dziad mojego męża oczywiście miał na imię Bonifacy, i ten Alojzy miał dwie namiętności: grał w karty i obstawiał wyścigi konne. I niech pan sobie wyobrazi, wygrał kiedyś w karty piękną kolekcję broni. Były tam szable, pistolety, rusznice, a nawet, podobno, kula armatnia. Oczywiście pierwsza wojna, druga wojna i kolekcja rozproszyła się po świecie. Po pierwszej wojnie ojciec mojego męża miał jeszcze kilka zabytkowych pistoletów z końca osiemnastego wieku odziedziczonych po dziadku, których ten nie zdążył przepuścić. Czasy były ciężkie i musiał sprzedać to, co pozostało. Kupił to od niego znajomy hrabia, nie pamiętam nazwiska, i ponoć wywiózł do Francji. Ba, doszły nas słuchy, że pojedynekował się na te stare pistolety.

Jaduch czuł, jak po plecach spływa mu pot, słyszał nawet własne zgrzytanie zębami.

– To wspaniała historia, ale może szanowna pani raczy wrócić do opowieści o moim przodku Jaduchu?

– Ach, tak. Oczywiście. Ale to, co mówiłam, w pewnym stopniu łączy się ze sprawą pana przodka. Jaduch był mężem kuzynki mojej babki. Ta kuzynka, z domu Dziedzińska, miała na imię Florentyna. A on? Niech sobie przypomnę. – Zamknęła oczy, jakby w ten sposób mogła zobaczyć imię Jaduchowego przodka. – No tak! – Ucieszyła się. – Teodor! Ale wracając do Francji. Otóż ten hrabia po pierwszej wojnie pojedynekował się, o ile dobrze pamiętam, a pamięć mam jak na swoje lata znakomitą, z niejakim Jaduchem. To

był brat czy syn Teodora. Imienia nie pamiętam. Chodziło o baronową Sądecką.

– I to było we Francji?

– Tak, ten hrabia go zastrzelił, tego Jaducha. A może tylko zranił? W każdym razie po tym incydencie hrabia wrócił do Polski razem ze swoimi pistoletami. Kupił jakiś skromny dworek w Małopolsce. Tę zubożałą kolekcję odziedziczył jego wnuk, z którym mój mąż się od czasu do czasu kontaktował w sprawach zawodowych, nawet się zaprzyjaźnili. Jakies dwadzieścia lat temu dokonano włamania do tegoż dworku. Skradziono wówczas rodową biżuterię, pieniądze i wszystkie pistolety.

– No ale co z Jaduchem?

– Nie wiem. Chodziły plotki, że także wrócił do Polski i zamieszkał z daleką krewną Potockich. Ale tego nie wiem na pewno.

A więc Potoccy, jestem z nimi spokrewniony! Spowinowacowany? A czort wie. Zresztą co to za różnica? Myśli w głowie Jaducha wariowały, a sam emerytowany nadkomisarz rozparł się wygodnie w secesyjnym fotelu pani Masłowskiej.

* * *

Rzeszowski lombard prowadzony przez Waldemara Kwiatkowskiego cieszył się powodzeniem. Właściciel dawał dobre ceny i był uprzejmy. Co jakiś czas policja składała mu

niezapowiedziane wizyty. Dokładnie sprawdzała papiery, przeglądała monitoring. Nic dziwnego, swego czasu Waldemar wpłatał się w handel dziełami sztuki i napad na jubilera. W procesie zeznawał jako świadek. Wywinął się, bo kumpel go nie sypnął. Ale nic za darmo. Kwiatkowski wiedział, że przyjdzie kiedyś pora spłaty długu. Przez lata prowadził lombard, zachowywał ostrożność. Żaden trefny towar nie miał prawa trafić do jego sklepu. Interes przeniósł do domu. Dostawców i kupców sprawdzał dokładnie, a spływały do niego niecodzienne okazy. I tym sposobem parę lat temu trafiło do niego kilka pistoletów czarnoprochowych. Na ich widok oczy mu się zaświeciły. Czegoś takiego do tej pory nie miał w ręku.

– Oryginały? – zapytał dostawcy.

– A jak, kuźwa, myślisz? Byle czego bym ci nie wciskał.

– No jasne.

Zapłacił horrendalną kwotę, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie. Broń od tego momentu należała do niego. Od razu musiał ją wypróbować. Poczytał, jak to się robi, i któregoś pięknego dnia na polanie pod lasem strzelił, aż wszystkie ptaki z okolic uciekły w popłochu. To było coś niesamowitego. Do tej pory co jakiś czas wyciągał ze skrytki swoje skarby i oglądał je, mrużąc przy tym oczy z zadowolenia. Nie zastanawiał się nad tym, skąd tamten młody człowiek miał broń. Mniej wiesz, dłużej żyjesz.

* * *

Krystyna Nawrocka siedziała na tarasie swego domu, z którego tak kiedyś się cieszyła, a przez który teraz miała same kłopoty. Nie dość, że niewierny mąż przepadł bez wieści, to jeszcze ktoś ją straszył. A Krystyna nie lubiła być straszona. Czuła się wtedy bezradna i bardzo samotna. Dobrze chociaż, że miała przyjaciółki. Zwariowane, bo zwariowane, ale mogła na nich polegać. Nadia obiecała, że coś wymyśli. Co? Na razie nie miała pojęcia. Tymczasem na Zbyszku nie dało się polegać ani za grosz. Od kilku dni Krycha próbowała się do niego dodzwonić – bezskutecznie. Zaciągnęła się papierosem i stwierdziła, że to wcale nie pomaga w podjęciu decyzji. Bardzo ważnej decyzji. Wystąpić o rozwód czy nie? Musiała się jeszcze poradzić w tej kwestii z Nadią i Wirką. Postanowione, jak powiedziałyby Nadieżda Hope.

* * *

Eulalia Rumianek i Hanna Żabczyńska siedziały na ławeczce przed blokiem i z ożywieniem rozmawiały. Funia schowała się w cieniu, pod ławką. Paniom osiemdziesiąt plus upał wcale nie przeszkadzał. Kto by się tam przejmował temperaturą, skoro musiały rozstrzygnąć, kto kogo

zamordował i dlaczego. Sukces wydawniczy pierwszej książki zachęcił przyjaciółki do napisania następnej.

– To mówisz, Lalu, że tym razem ukatrupimy handlarza narkotyków? – Hanka powiedziała to dość głośno, aż przechodzący obok mężczyzna spojrzał na kobieciny przerażony. Chciał już dzwonić na policję, ale przystanął i zaczął nasłuchiwać.

– Tak mi przyszło na myśl. Pamiętasz tę niedawną sprawę? Znalaziono kilka krzaczków konopi indyjskich i gotowy susz marihuany.

– Nie pisał już ktoś o tym?

– Jeśli nawet, to i tak my zrobimy to lepiej.

– Fakt – zgodziła się Hanka.

Mężczyzna odetchnął z ulgą i poszedł w swoją stronę.

* * *

W czasie gdy emerytowany nadkomisarz Jaduch gromadził informacje na temat świetlanej historii swoich przodków, Krystyna Nawrocka zastanawiała się nad swoją sytuacją i niewiernym mężem, dwie panie osiemdziesiąt plus planowały kolejne morderstwa, a trzech mężczyzn siedziało z wędkami nad Wisłokiem i rozmawiało przy ciszonych głosami.

– Ciii, ktoś idzie.

– Biorą? – Przechodzień uśmiechnął się życzliwie.

– Niespecjalnie – odmruknął krępy wędkarz.

Mężczyzna chciał jeszcze pogadać, ale ponure miny siedzących zniechęciły go do rozmowy.

– Poszedł?

– Poszedł. A ty, Rudy, chociaż spławik doczepiłbyś do tej wędki.

Nieudolny wędkarz popatrzył krzywo na kolegę i warknął:

– Stul pysk, Miki.

– Spokój. – Chłodny ton mężczyzny, który wyraźnie był ich szefem, zakończył dyskusję. Facet wstał, żeby rozprostować kości, aż coś mu chrupnęło w krzyżu. – Zrobicie, jak wam powiem. Tylko żadnej fuszerki.

– Jasne, szefie. Tylko Miki niech się bardziej przykłada. Ostatnio całą robotę ja odwalilem. Jestem za stary, żeby za kogoś zapierdalać.

– A może w ogóle jesteś za stary do tej roboty? – odgryzł się wysoki brunet.

– Przestańcie się żreć. Plan jest taki: w piątek przyjeżdża kupiec i do tego czasu w magazynie musi się znaleźć to, co trzeba. Zrozumiano!?

Rudy i Miki kiwnęli głowami.

– A co robimy z Kwiatkiem?

– No cóż – szef uśmiechnął się tajemniczo – musimy mu wytłumaczyć, że milczenie jest w jego interesie. Obaj mu to pokażecie.

Lekarz medycyny sądowej Marek Polański pochylił się nad zwłokami. Pogoda zmieniła się diametralnie, po upalnym poranku zaczął padać deszcz. Zrobiło się zimno i ciemno, grzmoty w oddali zapowiadały zbliżającą się burzę. Technicy uwijali się ze zbieraniem dowodów, żeby ulewa nie zatarała śladów. Podkomisarz Sławek Zawilski krążył od jednego do drugiego policjanta. Zajrzał też przez ramię Polańskiemu.

– Czy coś już wiadomo? Jak zginęła?

Prokurator zlecił mu dochodzenie, a do pomocy przydzielił aspirantkę Marzenę Rabendę. Oboje awansowali po udanej akcji rozbrojenia grupy przestępczej zajmującej się handlem narkotykami. Młody policjant przejął się powierzonym mu zadaniem. Nie mógł skopać tej sprawy.

Lekarz wstał, zdjął lateksowe rękawiczki i zwrócił się do Zawilskiego:

– Kobieta około siedemdziesiątki. Została zastrzelona. – Przetarł szkła okularów i wsiadł do auta. Czekало go sporządzenie wstępnego raportu, a po sekcji kolejnego, szczegółowego.

W podobnych okolicznościach poznał Nadieżdę. Przypomniаł sobie spotkanie sprzed dwóch lat. Okazało się, że Hope jest znajomą Jaducha. Od niego też dostał adres i tak

to się zaczęło. Pamięć czasem płata figle w najmniej odpowiednim momencie.

– Zastrzelona. Panowie, szukamy łuski. – Podkomisarz zwrócił się do techników.

Wskazał jeszcze fotografowi miejsca, które powinny zostać uwiecznione. Jednak – pomimo wysiłków ze strony pracowników – łuski ani innych śladów, które naprowadziłyby śledczych na jakiś trop, nie odkryto. Jedyne, co można było stwierdzić, to fakt, że denatkę znaleziono w zaroślach na tyłach starej szkoły.

– Nie zginęła tutaj. Morderca chciał ukryć zwłoki, ale wyszło mu to nieudolnie. Ułożenie ciała wskazuje, że została tu przyciągnięta. Świadczy też o tym poszarpane ubranie. Prawdopodobnie została zastrzelona przed frontem budynku. Po drugiej stronie drogi są wyraźne ślady opon różnych samochodów. Wykluczam jednak, że została przywieziona autem – zrelacjonował technik policyjny.

– Zabezpieczcie ślady – wydał polecenie Zawilski.

– Już to zrobiliśmy – mruknął pracownik, niezadowolony, że ten młody wydaje mu rozkazy.

Fotograf w milczeniu pstrykał zdjęcia. W końcu wszyscy zaczęli się zbierać do odjazdu.

– Tylko tyle? – zachodził w głowę Zawilski.

Wraz z Rabendą pokręcili się jeszcze po okolicy. Może jednak coś zostało przeoczone?

Nerwowo chodził od okna do drzwi i z powrotem. Deszcz walił o szyby, a błyskawice rozświecwały co jakiś czas mały pokój. W domu było gorąco i duszno, chociaż na zewnątrz znacznie się ochłodziło. Przetarł spocone czoło i spojrzał przez okno. Wydało mu się, że ktoś przemknął przez podwórze. Nareszcie. Czekał na niego od dwóch godzin. Znajomy obiecał przynieść zamówiony towar. Tym razem miała to być ikona z małej cerkwi w Bieszczadach. Podeszedł do drzwi i lekko je uchylił.

– Miki, to ty?

Cisza. Wyjrzał na podwórze. Poczuł krople deszczu na twarzy i silne uderzenie.

Ocknął się w kałuży. Deszcz już nie padał. Z trudem się podniósł. Cały był oblepiony błotem, a w głowie huczało. Powoli zaczął sobie przypominać, co się stało. Po tym, jak jego stary znajomy wyszedł z więzienia, właściciel lombardu spodziewał się najgorszego. I miał rację. W końcu należało spłacić dług zaciągnięty lata temu, a na to wcale nie miał ochoty. Nie podejrzewał jednak, że Miki, który nie raz dostarczał mu towar, będzie pracował dla Chudego.

Przywłókł się do domu. Powywracane krzesła, powyciągane szuflady, zawartość szafy wyrzucona i otwarta wersalka. Pusta.

– Zabrali wszystko.

Usiadł na podłodze i rozpłakał się jak dziecko.

* * *

Dorota Różecka, sąsiadka Ksawerego Sałackiego, piła ulubioną herbatkę miętową z odrobiną melisy oraz żurawiny i bezmyślnie gapiała się w telewizor. Od dłuższego czasu nic się nie działo u podejrzanego pisarza. Nikogo nie zamordowano, nikogo nie aresztowano. Nie miała więc powodu, żeby dzwonić po tego przystojnego komisarza Jaducha. *Chyba zacznę czytać kryminały, pomyślała. Może najpierw książki Sałackiego?*